Koń za półtora złotego

JESZCZE LITKUP DO TEGO.

OBRAZEK Z ŻYCIA WIEJSKIEGO

NAPISAŁ

Franciszek Walczakiewicz.

WARSZAWA.
Nakładem Autora.

1888.

Koń za półtora złotego

JESZCZE LITKUP DO TEGO

OBRAZEK Z ŻYCIA WIEJSKIEGO

NAPISAŁ

Franciszek Walczakiewicz.

WARSZAWA.

Nakładem Autora.

1888.

[illegible]

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Мая 1888 г.

Druk T. Nasiorowskiego, Czysta Nr 8.

W wiosce nieopodal Kałuszyna leżącej, mieszkał cieszący się ogólną sympatyą włościanin Piotr Góral, który oprócz wszelkich cnót domowych, odznaczał się szczególnem zamiłowaniem do zwierząt. Nie tylko więc, że swoje własne hodował z wszelką starannością, lecz gotów był pobiedz nawet milę drogi, gdy go poproszono o radę dla chorego zwierzęcia i to nawet do całkiem nieznajomych sobie gospodarzy, gdyż sława jego dobrego serca rozchodziła się i po za okolicę. Piotr posiadał także i potrzebne ku temu wiadomości. W młodości służył wojskowo w kawaleryi, był więc nieraz naocznym świadkiem, jak lekarz ten lub ów środek dla chorego bydlęcia zalecał, a że miał chęci ku temu, dobrą pamięć i co najważniejsza, umiał czytać i pisać, więc cze-

go się nie nauczył z przypatrywania, tego szukał w książkach.

Małżonka jego, Kasia, była także kobieta dobra, córka porządnego, a co za tem idzie, zamożnego gospodarza, patrzyła z dumą, jak ze wsi i okolic każdy szedł do jej męża po radę, czy to przy kupnie bydlęcia, czy też wreszcie w razie, gdy mu bydlę zachorowało, gdyż nietylko o lekarzy, ale nawet o książki, mogące radzić na początek przynajmniej w takich razach, trudno wówczas było, lecz swoją drogą gderała na niego, że bardzo często czas potrzebny dla własnego, obracał na cudze interesa.

Piotr nie słuchał tych wymówek i tłómaczył jej, że to robi się dla ulżenia niememu stworzeniu, które Bóg dla użytku i pomocy ludziom stworzył: słuszna rzecz więc, aby go szczególniejszą troskliwością otaczać, a to tem bardziej, iż za krzywdy zwierzętom wyrządzane, cięższa jest kara w wieczności, niż ludziom, którzy się o swoją krzywdę upomnieć mogą.

Kasia chociaż przekonana, markotnie jednak patrzyła na to, szczególniej gdy Piotr do swoich dobrych dla zwierząt uczynków dokładać nieraz musiał pieniądze, bo nieje-

den prosząc go o ratunek, nie miał za co kupić potrzebnych lekarstw. Piotr bodaj ostatni grosz wyłożył, byle tylko ulgę przynieść bydlęciu, a chociaż to nieraz robił w sekrecie przed żoną, ta zawsze się jednak o tem dowiedziała i poczciwego Piotra spotkała niezasłużona kara.

Nareszcie pewnego czasu o mało co nie przyszło do rozejścia się pomiędzy małżonkami.

Podówczas, gdy nie było jeszcze dróg żelaznych, wszystkie zwłaszcza ważniejsze sprawunki, ludność tak wioskowa jak i małomiasteczkowa załatwiać musiała na jarmarkach, dokąd z miast większych zjeżdżali się rzemieślnicy i handlarze, z wszelkiego rodzaju wyrobami, kto więc nie zaopatrzył się na takim jarmarku w pożądany sprawunek, musiał albo czekać następnego, albo też udawać się w inną, często o mil kilka oddaloną okolicę.

Właśnie przypadał walny jarmark w Kałuszynie, a Kasia, będąc zaproszoną na kumotrę, miała już całą garderobę wyszykowaną, brakło jej jedynie trzewików, a wiadomo, że bez tej części ubrania choćby

najwykwintniejsza garderoba, wcale się nie wyda.

Kasia więc, której zajęcia gospodarskie i przyszykowania do tak ważnego aktu, gdyż po raz pierwszy dopiero miała zostać kumą, zajmowało wiele czasu, wyprawiła Piotra po kupno trzewików, chcąc zaś być bezpieczniejszą o męża, ażeby w drodze nie wydał pieniędzy na jaki ratunek dla bydląt, dodała mu do pilnowania sąsiadkę, która także szła na jarmark, a na której nogę trzewiki miały być dobrane, i syna Wojtusia, czternastoletniego wyrostka, który miał co chwila przypominać ojcu na jarmarku o celu podróży.

Piotr, upomniany jeszcze z dziesięć razy przez małżonkę, która w zbytku przezorności zaopatrzyła go w pieniądze o tyle, o ile potrzeba było na kupno obuwia, dodała mu zaledwie kilka groszy na nadzwyczajne wydatki, pewna będąc, że tym sposobem najlepiej się zabezpieczy.

Piotr też szedł z myślą wypełnienia jak najakuratniej woli żony, lecz zaledwie uszli parę stai, wybiegł naprzeciw niego dobry znajomy a podupadły nieco gospodarz, na-

rzekając, że mu ostatnia krowa zachorowała i prosząc, ażeby wstąpił do niego.

Piotr, pomimo że mu na jarmark pilno było, chciał pospieszyć na ratunek, lecz jednocześnie odezwały się głosy wstrzymujące go:

— Trzewiki, tatulu—wołał Wojtek.

— Dajta pokój, bo się spóźnimy i będą ino same wybirki—rzekła sąsiadka.

— O poczekajcie chwilę, ja zaraz wrócę.

— Zobaczycie, że się spóźnimy.

— Nie, nie—odrzekł Piotr i pospiesznie pobiegł za proszącym.

— Słuchaj Wojtek, idź za ojcem, bo gotów tam co pieniędzy wydać i trzewików nie kupimy.

Wojtek pobiegł, a stanąwszy przy ojcu, zaczął wołać:

— Tatulu, a trzewiki!

— Cicho, zaraz idę.

Wojtuś stał i patrzał, czy czasem ojciec nie sięga do kieszeni.

Piotr po naradzie dobył woreczka i wsunął parę dziesiątek, nakazując kupienie potrzebnych maści, których używać zalecił.

Wojtuś począł wołać:

— Tatulu, bo nie wystarczy na trzewiki!

— Nie bój się, mam ja swoje — rzekł uspakajająco, — a gdyby co przybrakło, to przecież Walentowa nam pożyczy.

Pożegnawszy się i upomniawszy sąsiada, aby się do jego porady ściśle stosował, poszedł, lecz przed chałupą nie zastali już sąsiadki, która obawiając się spóźnić na jarmark, widząc, że już niektórzy powracają, szybko pobiegła.

Zmartwiło to trochę Piotra, bo na nogę sąsiadki miał dobrać obuwie dla żony, a także chciał brakujących mu pieniędzy od niej pożyczyć. Nie dał tego jednak poznać Wojtusiowi i rzekł:

— No, dogonimy ją, przecież niedaleko ujść mogła.

Wojtuś ruszył ostro. Lecz pomimo pośpiechu nie mogli ją dogonić, tem bardziej, że powracający już z jarmarku włościanie co chwila zatrzymywali Piotra, rozpytując go to o przymioty kupionego dobytku, to znów prosili, aby jako znawca ocenił, czy się nie okpili, a Piotr, chcąc każdemu dogodzić, musiał się naturalnie zatrzymywać

co chwila, pomimo przypominań Wojtusia, który na każdym przystanku wołał:

— Tatulu, bo nie dostaniemy trzewików.

Nareszcie po wielu zatrzymywaniach weszli do miasta; tu już rynek cały roił się tłumem ludzi. Wówczas bowiem jarmarki były jedynem miejscem do zaopatrywania się we wszelkie potrzeby.

Wśród tego tłumu trudno już było odszukać sąsiadki.

Chodzili więc w różne miejsca, miarkując, że się gdzie przecie zatrzymać musiała, lecz wszystko napróżno, ani śladu, a tu już jarmark zbliżał się ku końcowi.

Wojtuś zaczął płakać, wyrzucając, że przez te wstępowania, trzewików dla matki nie kupią.

Piotr uspakajał go jak mógł, i tak krążąc wciąż wśród rynku, weszli w przedział na targ koński przeznaczony.

Tu wśród gromady kupujących natrafili na małą sprzeczkę, które się tak często na jarmarkach wydarzają. Piotr chciał ją ominąć, lecz ciekawy Wojtuś pociągnął ojca mówiąc: że kiedy tu jest kłótnia, to i sąsiadka pewnie tam będzie, a jeśli jej niema to pewno nadejdzie. Piotr więc przysunął

się do gromadki, aby dowiedzieć się o co idzie.

Spostrzegli tam jakiegoś człowieka, który przyprowadził na targ konia, ale w najwyższym stopniu zmizerowanego, tak, że obecni czynili mu wyrzuty, jak można było tak pożyteczne bydlę do tak opłakanego stanu doprowadzić.

Człek ów imieniem Bartos, odcinał się jak mógł, składając winę na swojego syna, który pod jego nieobecność w domu zajmował się gospodarstwem, to znów na żonę, to wreszcie na samego konia, jako niby leniwego, lecz wszystkie jego wymówki zbijali przeciwnicy, dowodząc mu, że jest złym gospodarzem, człowiekiem bez serca i kary Boskiej się nie bojącym.

Rzeczywiście koń był w najwyższym stopniu zaniedbany i przedstawiał obraz prawdziwej nędzy.

Oprócz zapadłych boków, na których żebra policzyć było można, miał z dziesięć ran na skórze, cały zad zdawał się jedną zabłoconą i zaschniętą skorupą, jak również nogi, szyja długa jak kawał deski, z pozostałą gdzieniegdzie grzywą, ślepie zagasłe i do tego kulał mocno na przednią nogę.

Gdy Piotr spojrzał na to zwierzę, serce mu się tak ścisnęło, że nawet zapomniał o kłopocie swoim z powodu niemożności odszukania sąsiadki dla sprawunku, który był jego głównym i jedynym celem na jarmarku.

— Zmiłuj się, Bartosie, jak mogłeś tak zmarnować to bydlę?

Bartos zaczął mu się tłomaczyć, a obecni poczęli znów dogadywać, co zaczęło już Bartosa niecierpliwić, począł więc wymyślać wtrącającym się, odsyłając ich do djabła. Ponieważ na jarmarku niejeden z obecnych, a liczba ich coraz się zwiększała, był trochę podchmielony, zaczęto się nawzajem obsypywać obelgami i byłoby przyszło do bójki, gdyby niespodziewane przyjście pisarza od burmistrza nie przeszkodziło temu.

Pisarz spojrzawszy na konia i na gospodarza, zawołał:

— Ażebyś ty milion tysięcy fur beczek bataljonów djabłów zjadł, chamie jakiś, toś ty gospodarz i takie masz bydlę, no patrzcie, ruszaj mi ty ztąd zaraz, bo jaśnie wielmożna prezydentowa będzie szła tędy i może jej zaszkodzić widok takiego mizeractwa, bo jak nie, to cię pięćdziesiąt ba-

tów nie minie, gałganie, rozumiesz! Żeby cię tu zaraz nie było—i odszedł.

Piotr obejrzał konisko, przekonał się, że nie stary i dobrego gatunku, tylko bieda i nieludzkie obchodzenie się tak go zmizerowało, nabrał więc ochoty, aby go kupić, wyleczyć, wypielęgnować i dopiero pokazać, co silna wola może zrobić.

W tej chwili, gdy zaambarasowany Bartos nie wiedział co począć, zjawił się żyd Herszek, który dawniej targował u niego tego konia, lecz z powodu nizkiej ceny, jaką mu dawał, Bartos nie chciał sprzedać konia, czego teraz mocno żałował.

Spostrzegłszy więc Herszka, zawołał:

— No, Herszek, weź już go za piętnaście złotych.

Ale Herszek słysząc rozmowę i rozkaz pisarza, chciał z tego skorzystać i rzekł mu:

— Ny, albo ja głupi, dziś un nic nie wart, bo skóra na nim popękała, a wtedy jeszcze miał trochę lepszą. Teraz ty dopłać mi dwa złote, to ja go z targu usunę, a jak nie chcesz, to ci wielmożny pisarz każe dać bizuny.

Piotr słysząc to, przystąpił do Bartosa i nie zważając na krzyczącego Wojtusia

o trzewiki dla matki, zawołał pół serjo pół żartem:

— Słuchaj, Bartos, chcesz półtora złotego, to ci dam.

— Bierz—krzyknie uradowany Bartos— jeszcze ci litkup zafunduję.

— Co wy robicie—krzyknie Herszek — a toż un do domu wam w żaden sposób nie zajdzie.

— Co tobie do tego— odpowie Piotr — jeszcze go kupisz odemnie i dasz 15 rubli.

— Ny, jak wy sobie żartujecie. Ja wam powiadam, co un już ledwo zipi.

— Dajta pieniądze—rzekł Bartos, który rad był usunąć się z targu.

Piotr, mimo protestacyi Wojtusia, pieniądze wyliczył, a Bartos zaprosił go na litkup, lecz Piotr podziękował, z czego korzystając usunął się coprędzej, żeby się z panem pisarzem nie spotkać.

Obecni mocno się dziwili, że Piotr taki znawca, a kupił tę nędzną szkapę, która według przepowiedni Hersza, zaraz zdechnąć miała. Lecz byli i tacy, którzy mówili:

— Nie bójta się, kiedy on kupił, to widać, że żyć będzie.

Porobili więc zakłady i prosili Piotra, żeby im pozwolił szkapę naznaczyć, by wiedzieli za dwa tygodnie kto wygrał, bo taki termin ułożyli.

Ponieważ koń miał gwiazdkę białą nad mordą, tu więc naznaczyli go i rozeszli się gwarząc o Bartoszu, szkapie jego i Piotrze, który po przybiciu targu, coprędzej owe bydlę z targu usunąć musiał, obawiając się aby przypadkiem zapowiedziane przez pisarza nadejście pani burmistrzowej, a co ważniejsza, przestraszenie jej tak mizerną szkapą, nie sprowadziło na niego zapowiadanych dla Bartosa skutków.

Lecz potrzeba było koniecznie odszukać sąsiadkę, gdyż Wojtuś nalegał na ojca, by koniecznie kupił trzewiki: Piotr znajdował się w ogromnym frasunku, bo tu trzeba było z koniem powracać do domu, a sąsiadka znikła jak kamfora.

Napróżno rozpytywał się o nią znajomych, nikt jej nie widział, a każdy śmiał się z niego, że kupił taką szkapę, która za godzinę najdalej zdechnie, jak o tem Herszek zapewniał.

Rad nie rad do domu się wybierać począł, pomimo płaczu Wojtusia, który nie

chciał z placu ustąpić, gdyż obawiał się za nieakuratne wypełnienie włożonych na niego obowiązków, odebrać zasłużoną od matki karę.

Na rozkaz jednak ojca, który nie lubiał żartować, puścili się w drogę, szkapa kulejąc szła ledwo, a po ujściu niecałej wiorsty za miastem, tuż przy szosie utknęła i potoczywszy się w rów, ułożyła się w widocznym zamiarze pożegnania się z tym światem.

Piotr zmartwiony teraz na dobre, próbował rozmaitych środków, by konia do drogi zachęcić, lecz naprózno; stanęli więc oba rozmyślając, a Wojtuś spłakany doradzał ojcu, aby konia zostawić, a wrócić się na jarmark, gdzie będzie można jeszcze odszukać sąsiadkę, pożyczyć od niej brakujących pieniędzy i sprawunek jak należy załatwić.

Lecz Piotr wcale się na to zgodzić nie chciał, oczekując aż szkapa wypocznie sobie, poczem miał nadzieję, że aby tylko ruszyła z miejsca, to pójdzie i dalej. Przez ten czas przypatrywał jej się pilnie i ze zgrozą coraz więcej dopatrywał w niej śladów nieludzkiego obchodzenia się z dobrym jeszcze tak niedawno koniem.

Wzięli się oba do podnoszenia go, ale bezskutecznie. Wojtuś głodny, rad już by był znajdować się w domu, wiedząc, że matka, która go kochała, choć nagniewa się na niego, to jednakże pełną misę postawi, a tu z tą szkapą chyba niepodobna będzie dziś dojść do domu, życzył mu też jak najprędzej szczęśliwej śmierci, rozumie się w sekrecie przed ojcem, a tu jak na złość szkapa ani zdychać, ani ruszyć się z miejsca nie chciała.

Piotr widząc zafrasowaną minę syna, począł go uspokajać, mówiąc, że byle tylko dobrze sobie odpoczął, to ruszy i zachwalając konia, że w ich rękach przyjdzie on do siebie za jakie dwa miesiące nikt nie pozna tego zdechlaka, że dostaną za niego ze 30 rubli, bo on przynajmniej dwa razy tyle kosztować musiał.

Wojtuś słuchał, ale myśl jego zwróconą była ku chałupie, gdzie właśnie pod ten czas gotowe jadło stało już dla nich naszykowane. Zaglądał od czasu do czasu do wyciągniętej szkapy, lecz ta leżała jak martwa.

Nareszcie, jakby na szczęście dla nich gościńcem potoczył się się omnibus poczto-

wy a pocztylion dla uprzyjemnienia drogi jadącym, począł wygrywać na trąbce.

Zaledwie odgłos trąbki doszedł do uszu leżącego konia, tenże nastawiwszy uszy, raptem jakby z letargu podniósł się i stanął na równe nogi, potrząsł łbem i biedz począł ku wielkiej pociesze Wojtusia, a naturalnie i samego Piotra.

— A co, widzisz, nie mówiłem, że jak odpocznie to poleci.

— Prawda, tatulu, ale mi się widzi że to muzyka tak go postawiła na nogi.

- Musi być koń wojskowy, tem lepiej, teraz nie boję się, żeby nam zdechl—powiedział Piotr.

— Ale zkądby go wziął Bartos, przecie on w wojsku nie służył.

— Mógł go od wojskowego kupić, poznałem od razu, że to koń dobry.

Tymczasem echo trąbki rozlegało się, a szkapa szła usiłując się zdobyć nawet na chód pośpieszny. Piotr zaś prowadził ją, poklepując od czasu do czasu po wychudzonych bokach, i tak doszli szczęśliwie do domu.

Jeżeli jednak przybycie szczęśliwe do domu ze szkapą, która podług przepowiedni

Herszka zdechnąć zaraz miała, cieszyło Piotra, to spodziewana burza małżeńska z powodu tak bolesnego zawodu, jaki mimowolnie litością dla biednego zwierzęcia tknięty Piotr, zrobił po raz pierwszy w życiu swej małżonce, mocno go niepokoiła.

Nierównie więcej obawiał się Wojtuś, który zawczasu już szykował się na odpowiedzialność własną skórą i myślał właśnie nad tem, jakimby sposobem mógł się uratować, a po długiem namyślaniu postanowił nie iść wprost do domu, lecz uciec się pod opiekę babki mieszkającej opodal, tam przeczekać pierwsze chwile uniesienia matki, a następnie powrócić do domu w towarzystwie dziadka lub babki, ufając, że przy nich nic mu się już nie oberwie.

Plan miał więc gotowy, szło tylko o jego szczęśliwe udanie, lecz jak na złość wypadki ułożyły się inaczej. Wojtuś myślał zaraz z przed płotu dać jak to mówią nura, a tu na staję jeszcze przed domem zaszła im drogę Kasia, która od przybyłej już z jarmarku sąsiadki dowiedziała się, że główny sprawunek nie został załatwiony. Nie wiedziała tylko nic o nabytku, jaki właśnie do kupna trzewików przeszkodził i zni-

knięcie Piotra z Wojtkiem na jarmarku mocno ją niepokoiło, tem bardziej, gdy sąsiadka powróciła, a ich jeszcze widać nie było. Ponieważ szczerze męża jak i dzieci kochała, niepokoiło ją to coraz bardziej, tak, że od czasu do czasu wychodziła po za dom, upatrując powracających, a jak na złość, nic się od nich nie mogła dowiedzieć. W tem rozmyślaniu zapomniała nawet o chrzcinach i potrzebnych jej trzewikach, a tylko niespokojnie patrzyła, ażali się jej upragnione postacie na drodze wiodącej do domu nie zjawią.

Gdy więc ujrzała zdaleka idących, serce dobrej kobieciny uradowało się niezmiernie, a widząc, że prowadzą coś z sobą, z ciekawością szybko podążała naprzeciwko nich.

Wojtuś spostrzegłszy matkę, mocno się przestraszył, widząc cały plan zwichnięty, lecz wprędce zdecydował się poddać losowi, na wszelki wypadek usuwając się tylko nieco w tył po za szkapę. Spostrzegł to Piotr i zaraz postanowił nie pozwolić, aby się na nim jego własne przewinienie skrupić miało, rzekł mu więc:

— Wojtuś, a czego się chowasz za szkapę?

— Bo się boję, żeby mnie matula nie biła.

— Kiedyś nic nie winien, to się nie bój i nie chowaj przed matką.

— Ba, a czy matula będzie pytać, czy to ja winien, dość, żeśmy trzewików nie kupili ino szkapę.

— No, nie bój się –nic ci nie będzie.

W tej chwili nadeszła matka i spostrzegłszy ich ze szkapą, zapytała co się stało, że tak długo bawili.

Piotr naturalnie zdobywał się na całą siłę wymowy, aby żonie się wytłómaczyć i przekonać ją o dobrym uczynku jaki wypełnił, a nawet o świetnym interesie, jaki spodziewa się na zakupionym za półtora złotego koniu zrobić.

Ale na nieszczęście, Kasia ochłonąwszy ze strachu, jaki budziła w niej długa nieobecność męża i syna, teraz z całą zapalczywością kobiecą, płynącą z zawiedzionej nadziei popisania się na chrzcinach, rozpoczęła wojnę z Piotrem, a naturalnie obiecując i Wojtusiowi za przybyciem do domu sprawić porządne lanie, a szkapę, która głównie przyczyniła się do zawodu, jako najgłówniejszą sprawczynię niepokoju, zaraz zabić dra-

paką, gdyż podług jej zdania nic innego nie warta była.

Naturalnie, rozpoczęta na drodze kłótnia ciągnęła się długo w domu lecz Piotr, najgłówniej dawał baczenie na to, aby Wojtuś za winę jego nie ucierpiał i cierpliwie znosząc wybuchy żony, pozwalał jej dowolnie wygadać się, zastawiając jednakże Wojtusia ile razy zgniewana Kasia chciała mu skórę obić.

Nareszcie skończyły się i nieporozumienia, bo znalazła się druga sąsiadka, która jej na chrzciny nowiutkich trzewików odstąpiła, a Piotr z Wojtusiem zajęli się całą siłą ową zbiedzoną szkapą, najpierw i to bardzo długo musieli ją myć, bo widocznem było z obeschniętego błota na szerści, że woda oddawna na niej nie postała, a cóż dopiero mówić o zgrzeble, a że utrzymanie bydlęcia w czystości jest najpierwszym warunkiem jego zdrowia, a także na wygląd mocno wpływa, nic więc dziwnego, że szkapa nie myta oddawna obrzydliwie się przedstawiała. Następnie Piotr musiał bardzo oględnie z początku odkarmiać bydlę, aby po takim długim poście, lepsza pasza odniosła stosowny skutek. Jednem słowem, robił

wszystko co tylko dyktowała mu jego wiedza, aby mógł pokazać, że silna wola i chęć szczera wszystko dokazać może, co mu się też w zupełności udało, gdyż po parutygodniowym pobycie w domu Piotra, koń już nie podobny był wcale do tej nędznej szkapy, jaka na jarmarku w Kałuszynie wzbudzała grozę i politowanie.

Piotr chwalił się nieraz przed żoną z cudownej prawie przemiany, jakiej na szkapie dokazał, lecz Kasia czując do niego zawsze urazę o trzewiki, nie chciała mu przyznać racyi i zawsze wyszukiwała wad, aby mogła zganić nienawistne sobie zwierzę.

Napróżno Piotr wychwalał wysokie zalety swego konia, który jak się okazało, pochodził z krwi szlachetnej i dostał się do rąk złego gospodarza jakimś dziwnym trafem, i wart był co najmniej 30 rubli. Lecz zwykle, co lekko przychodzi, lakko bywa traktowane: tak się też i z nim stało i gdyby nie Piotr, który go swoją wytrwałością na nogi postawił, szlachetne zwierzę zabite by zostało prosto na skórę.

W dwa miesiące po nabyciu na jarmarku zwierzę było do niepoznania, wszelkie rany pogoiły się, skóra nabrała pięknego po-

łysku, boki przedtem zapadłe, jak również i cała postać wypełniły się kształtnie. Z siłą przyszła i rączość, do której go Piotr powoli przyzwyczajał, jednem słowem, zrobił się koń bardzo piękny, a tak do swojego pana nawykły, że rozumiał każdy ruch jego ręki i jak pies za nim chodził.

Piotr bardzo go lubił i chętnie go by u siebie zatrzymał, bo i nic dziwnego, każdemu dzieło własne jest miłe, a tu zaszła przemiana była owocem jego rzeczywistych wyników pracy i cierpliwości.

Lecz Kasia nie dała się przebłagać i nigdy mu przebaczyć nie mogła, że przez niego na chrzciny w pożyczanych trzewikach iść musiała. Piotr więc sprzedać go musiał, nie chcąc by jego widok miał ją wciąż drażnić.

W tym czasie zeszli się do niego ci, którzy zrobili zakład na jarmarku, że koń wedle przepowiedni Hersza zdechnie za godzinę a po sprawdzeniu uczynionego znaku, wśród wesołości i pochwał dla Piotra, umówiony zakład uiścili, a ponieważ Piotr oznajmił, że konia sprzedać zamierza, postanowiono spróbować, czy Hersz taki znawca

pozna — owe bydlę, do zabrania którego na swoją własność żądał jeszcze dopłaty.

Ponieważ za tydzień przypadał akurat walny jarmark w Kałuszynie, ułożyli się więc, że przyjdą i konia poprowadzą. Piotr zaś pójdzie w asystencyi i umówionym znakiem objaśni ich, na jaką cenę by się ostatecznie zgodził; a jeżeli Hersz go nie pozna i targować będzie, to suma miała być znacznie powiększoną.

Zgoda stanęła, ale Kasia ponieważ stanowczo zaprzeczała utrzymującym, że Hersz konia kupi, więc i ona choć zdaleka miała być na targu obecną.

Wojtuś dopraszał się także aby mógł iść, na co mu Piotr pozwolił, gdyż i on własną pracą i staraniami, gdy ojciec nie miał czasu przyczyniał się do polepszenia stanu zwierzęcia.

Ponieważ sprawa ta rozeszła się po wsi, a Hersz miał sławę na całą okolicę, więc dużo się zebrało włościan, którzy nie mając rzeczywistego interesu na jarmark podążyli, tak więc owa zdychająca szkapa w ogromnem otoczeniu wyruszyła z wioski.

A trzeba było widzieć, z jaką elegancyą jakby przeczuwając popis, stąpał koń, rżąc

od czasu do czasu, a Piotr i Wojtuś, którzy się do niego szczerze przywiązali z żalem patrzyli za tak wspaniale dziś wyglądającym zwierzem, z którym za godzinę pożegnać się muszą.

Podług umowy, prowadzący konia weszli zaraz na miejsce do sprzedaży przeznaczone.

Tu uwijał się już Hersz, targując właśnie wierzchowca u jednego z kolonistów. Lecz skoro zobaczył wprowadzonego konia, który mu od razu wpadł w oko, przerzucił się zaraz do przegrody, u której go uwiązywali.

Zwolna przybliżył się Piotr z Wojtusiem, a Hersz, w dobrym humorze, zaczepił go zaraz.

— A jak się macie,—no, cóżeście z tym koniem Bartosa zrobili?

— A no zdechł.

— Widzicie, ja wam mówiłem, co un zaraz zdechnącz musi. To były tylko gnaty.

— Ha, cóż robić?—rzekł Piotr i odsunął się na bok, a Kasia jak mogła najbliżej stanęła, aby się o rozumie Herszka przekonać.

Herszek zapalił się mocno od razu, lecz jak mu powiedział cenę, niby mocno się roz-

gniewał. jednakże nie opuszczał barjery i coraz to lepiej go oglądał, aż nareszcie oznajmił, że najwyżej wart 20 rubli i że więcej ani grosza nie da.

— No, jak nie dacie, to nie kupicie.

— Kiedy wam nikt nie da.

— Zabaczymy.

Odszedł, lecz zawsze mając go na oku targował u innych, lecz jakoś na całym targu lepszych dużo nie było. Wrócił się więc, oznajmiając, że 1 rs. kop. 50 postąpi, a litkup w takim razie do sprzedawcy należy.

Ci naturalnie nie chcieli. Hersz znów odszedł i tak kilka razy wracał postępując, aż doszedł do 25 rubli.

Kasia zaczęła nalegać, by Piotr wziął pieniądze, lecz włościanie namawiali go by się trzymał przy cenie, a im też pilno nie było.

Tymczasem Hersz po kilkakrotnie odchodził i wracał, postepując po kilka złotych a za każdym razem zapewniał, że to jego już ostatnie słowo.

Włościanie zaś trzymali się, chcąc z żydka jak najwięcej wyciągnąć, a następnie znaleźli się i inni targujący, co widząc Hersz,

postąpił na 27 rubli, cenę przez Piotra naznaczoną i konia kupił z dodatkiem litkupu.

Gdy przyszło do poczęstunku i po wypiciu, Hersz obmyślając już zyski, jakie spodziewał się z kupna osiągnąć, zabierał się do wyjścia, włościanie otoczywszy go, przekonali, że to ten sam koń, za którego on przed paru miesiącami żądał od Bartka dopłaty, a którego Piotr za półtora złotego kupił.

Naturalnie, Herszek nie chciał wierzyć, lecz ponieważ i świadkowie i Bartek poprzedni jego właściciel, (który teraz widząc, że Piotr tak dobrze na tym koniu zarobił, mocno był zmartwiony), przyznał jego tożsamość, zwłaszcza po znaku, jaki umyślnie był zrobiony przez zakładających się wówczas gdy Hersz twierdził, że szkapa za godzinę zdechnie. Rad nie rad uwierzył, a ratując zagrożoną sławę, rzekł:

— Chcecie coby buł ten sam, to niech sobie będzie — i ruszył z koniem z placu, wśród ogólnej wesołości otaczających.

Piotrowi smutno się zrobiło po odejściu Herszka, bo nie dbał bardzo o pieniądze.

a i Wojtusiowi łzy się zakręciły w oczach, gdyż i on przywiązany był do konia.

Najwięcej jednak cieszyła się Kasia, która teraz kupiła sobie dwie pary trzewików, i już później nigdy nie gderała na męża, gdy tenże niósł pomoc zwierzętom, widząc tak jawny przykład nagrody za dobre czyny.

Piotr zaś pozostał jeszcze bardziej cenionym i nikt prawie bez jego porady nie kupował inwentarza, a co ważniejsza, cała wieś i okoliczne, starały się go w dbaniu o dobro zwierząt naśladować.

Koń za półtora złotego

JESZCZE LITKUP DO TEGO.

OBRAZEK Z ŻYCIA WIEJSKIEGO

NAPISAŁ

Franciszek Walczakiewicz.

WARSZAWA.
Nakładem Autora.

1888.

Koń za półtora złotego
JESZCZE LITKUP DO TEGO

OBRAZEK Z ŻYCIA WIEJSKIEGO

NAPISAŁ

Franciszek Walczakiewicz.

WARSZAWA.

Nakładem Autora.

1888.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Мая 1888 г.

Druk T. Nasiorowskiego, Czysta Nr 8.

W wiosce nieopodal Kałuszyna leżącej, mieszkał cieszący się ogólną sympatyą włościanin Piotr Góral, który oprócz wszelkich cnót domowych, odznaczał się szczególnem zamiłowaniem do zwierząt. Nie tylko więc, że swoje własne hodował z wszelką starannością, lecz gotów był pobiedz nawet milę drogi, gdy go poproszono o radę dla chorego zwierzęcia i to nawet do całkiem nieznajomych sobie gospodarzy, gdyż sława jego dobrego serca rozchodziła się i po za okolicę. Piotr posiadał także i potrzebne ku temu wiadomości. W młodości służył wojskowo w kawaleryi, był więc nieraz naocznym świadkiem, jak lekarz ten lub ów środek dla chorego bydlęcia zalecał, a że miał chęci ku temu, dobrą pamięć i co najważniejsza, umiał czytać i pisać, więc cze-

go się nie nauczył z przypatrywania, tego szukał w książkach.

Małżonka jego, Kasia, była także kobieta dobra, córka porządnego, a co za tem idzie, zamożnego gospodarza, patrzyła z dumą, jak ze wsi i okolic każdy szedł do jej męża po radę, czy to przy kupnie bydlęcia, czy też wreszcie w razie, gdy mu bydlę zachorowało, gdyż nietylko o lekarzy, ale nawet o książki, mogące radzić na początek przynajmniej w takich razach, trudno wówczas było, lecz swoją drogą gderała na niego, że bardzo często czas potrzebny dla własnego, obracał na cudze interesa.

Piotr nie słuchał tych wymówek i tłómaczył jej, że to robi się dła ulżenia niememu stworzeniu, które Bóg dla użytku i pomocy ludziom stworzył: słuszna rzecz więc, aby go szczególniejszą troskliwością otaczać, a to tem bardziej, iż za krzywdy zwierzętom wyrządzane, cięższa jest kara w wieczności, niż ludziom, którzy się o swoją krzywdę upomnieć mogą.

Kasia chociaż przekonana, markotnie jednak patrzyła na to, szczególniej gdy Piotr do swoich dobrych dla zwierząt uczynków dokładać nieraz musiał pieniądze, bo nieje-

den prosząc go o ratunek, nie miał za co kupić potrzebnych lekarstw. Piotr bodaj ostatni grosz wyłożył, byle tylko ulgę przynieść bydlęciu, a chociaż to nieraz robił w sekrecie przed żoną, ta zawsze się jednak o tem dowiedziała i poczciwego Piotra spotkała niezasłużona kara.

Nareszcie pewnego czasu o mało co nie przyszło do rozejścia się pomiędzy małżonkami.

Podówczas, gdy nie było jeszcze dróg żelaznych, wszystkie zwłaszcza ważniejsze sprawunki, ludność tak wioskowa jak i małomiasteczkowa załatwiać musiała na jarmarkach, dokąd z miast większych zjeżdżali się rzemieślnicy i handlarze, z wszelkiego rodzaju wyrobami, kto więc nie zaopatrzył się na takim jarmarku w pożądany sprawunek, musiał albo czekać następnego, albo też udawać się w inną, często o mil kilka oddaloną okolicę.

Właśnie przypadał walny jarmark w Kałuszynie, a Kasia, będąc zaproszoną na kumotrę, miała już całą garderobę wyszykowaną, brakło jej jedynie trzewików, a wiadomo, że bez tej części ubrania choćby

najwykwintniejsza garderoba, wcale się nie wyda.

Kasia więc, której zajęcia gospodarskie i przyszykowania do tak ważnego aktu, gdyż po raz pierwszy dopiero miała zostać kumą, zajmowalo wiele czasu, wyprawiła Piotra po kupno trzewików, chcąc zaś być bezpieczniejszą o męża, ażeby w drodze nie wydał pieniędzy na jaki ratunek dla bydląt, dodała mu do pilnowania sąsiadkę, która także szła na jarmark, a na której nogę trzewiki miały być dobrane, i syna Wojtusia, czternastoletniego wyrostka, który miał co chwila przypominać ojcu na jarmarku o celu podróży.

Piotr, upomniany jeszcze z dziesięć razy przez małżonkę, która w zbytku przezorności zaopatrzyła go w pieniądze o tyle, o ile potrzeba było na kupno obuwia, dodała mu zaledwie kilka groszy na nadzwyczajne wydatki, pewna będąc, że tym sposobem najlepiej się zabezpieczy.

Piotr też szedł z myślą wypełnienia jak najakuratniej woli żony, lecz zaledwie uszli parę stai, wybiegł naprzeciw niego dobry znajomy a podupadły nieco gospodarz, na-

rzekając, że mu ostatnia krowa zachorowała i prosząc, ażeby wstąpił do niego.

Piotr, pomimo że mu na jarmark pilno było, chciał pospieszyć na ratunek, lecz jednocześnie odezwały się głosy wstrzymujące go:

— Trzewiki, tatulu—wołał Wojtek.

— Dajta pokój, bo się spóźnimy i będą ino same wybirki—rzekła sąsiadka.

— O poczekajcie chwilę, ja zaraz wrócę.

— Zobaczycie, że się spóźnimy.

— Nie, nie—odrzekł Piotr i pospiesznie pobiegł za proszącym.

— Słuchaj Wojtek, idź za ojcem, bo gotów tam co pieniędzy wydać i trzewików nie kupimy.

Wojtek pobiegł, a stanąwszy przy ojcu, zaczął wołać:

— Tatulu, a trzewiki!

— Cicho, zaraz idę.

Wojtuś stał i patrzał, czy czasem ojciec nie sięga do kieszeni.

Piotr po naradzie dobył woreczka i wsunął parę dziesiątek, nakazując kupienie potrzebnych maści, których używać zalecił.

Wojtuś począł wołać:

— Tatulu, bo nie wystarczy na trzewiki!

— Nie bój się, mam ja swoje — rzekł uspakajająco, — a gdyby co przybrakło, to przecież Walentowa nam pożyczy.

Pożegnawszy się i upomniawszy sąsiada, aby się do jego porady ściśle stosował, poszedł. lecz przed chałupą nie zastali już sąsiadki, która obawiając się spóźnić na jarmark, widząc, że już niektórzy powracają, szybko pobiegła.

Zmartwiło to trochę Piotra, bo na nogę sąsiadki miał dobrać obuwie dla żony, a także chciał brakujących mu pieniędzy od niej pożyczyć. Nie dał tego jednak poznać Wojtusiowi i rzekł:

— No, dogonimy ją, przecież niedaleko ujść mogła.

Wojtuś ruszył ostro. Lecz pomimo pośpiechu nie mogli ją dogonić, tem bardziej, że powracający już z jarmarku włościanie co chwila zatrzymywali Piotra, rozpytując go to o przymioty kupionego dobytku, to znów prosili, aby jako znawca ocenił, czy się nie okpili, a Piotr, chcąc każdemu dogodzić, musiał się naturalnie zatrzymywać

co chwila, pomimo przypominań Wojtusia, który na każdym przystanku wołał:

— Tatulu, bo nie dostaniemy trzewików.

Nareszcie po wielu zatrzymywaniach weszli do miasta; tu już rynek cały roił się tłumem ludzi. Wówczas bowiem jarmarki były jedynem miejscem do zaopatrywania się we wszelkie potrzeby.

Wśród tego tłumu trudno już bylo odszukać sąsiadki.

Chodzili więc w różne miejsca, miarkując, że się gdzie przecie zatrzymać musiała, lecz wszystko napróżno, ani śladu, a tu już jarmark zbliżał się ku końcowi.

Wojtuś zaczął płakać, wyrzucając, że przez te wstępowania, trzewików dla matki nie kupią.

Piotr uspakajał go jak mógł, i tak krążąc wciąż wśród rynku, weszli w przedział na targ koński przeznaczony.

Tu wśród gromady kupujących natrafili na małą sprzeczkę, które się tak często na jarmarkach wydarzają. Piotr chciał ją ominąć, lecz ciekawy Wojtuś pociągnął ojca mówiąc: że kiedy tu jest kłótnia, to i sąsiadka pewnie tam będzie, a jeśli jej niema to pewno nadejdzie. Piotr więc przysunął

się do gromadki, aby dowiedzieć się o co idzie.

Spostrzegli tam jakiegoś człowieka, który przyprowadził na targ konia, ale w najwyższym stopniu zmizerowanego, tak, że obecni czynili mu wyrzuty, jak można było tak pożyteczne bydlę do tak opłakanego stanu doprowadzić.

Człek ów imieniem Bartos, odcinał się jak mógł, składając winę na swojego syna, który pod jego nieobecność w domu zajmował się gospodarstwem, to znów na żonę, to wreszcie na samego konia, jako niby leniwego, lecz wszystkie jego wymówki zbijali przeciwnicy, dowodząc mu, że jest złym gospodarzem, człowiekiem bez serca i kary Boskiej się nie bojącym.

Rzeczywiście koń był w najwyższym stopniu zaniedbany i przedstawiał obraz prawdziwej nędzy.

Oprócz zapadłych boków, na których żebra policzyć było można, miał z dziesięć ran na skórze, cały zad zdawał się jedną zabłoconą i zaschniętą skorupą, jak również nogi, szyja długa jak kawał deski, z pozostałą gdzieniegdzie grzywą, ślepie zagasłe i do tego kulał mocno na przednią nogę.

Gdy Piotr spojrzał na to zwierzę, serce mu się tak ścisnęło, że nawet zapomniał o kłopocie swoim z powodu niemożności odszukania sąsiadki dla sprawunku, który był jego główuym i jedynym celem na jarmarku.

— Zmiłuj się, Bartosie, jak mogłeś tak zmarnować to bydlę?

Bartos zaczął mu się tłomaczyć, a obecni poczęli znów dogadywać, co zaczęło już Bartosa niecierpliwić, począł więc wymyślać wtrącającym się, odsyłając ich do djabła. Ponieważ na jarmarku niejeden z obecnych, a liczba ich coraz się zwiększała, był trochę podchmielony, zaczęto się nawzajem obsypywać obelgami i byłoby przyszło do bójki, gdyby niespodziewane przyjście pisarza od burmistrza nie przeszkodziło temu.

Pisarz spojrzawszy na konia i na gospodarza, zawołał:

— Ażebyś ty milion tysięcy fur beczek batalionów djabłów zjadł, chamie jakiś, toś ty gospodarz i takie masz bydlę, no patrzcie, ruszaj mi ty ztąd zaraz, bo jaśnie wielmożna prezydentowa będzie szła tędy i może jej zaszkodzić widok takiego mizeractwa, bo jak nie, to cię pięćdziesiąt ba-

tów nie minie, gałganie, rozumiesz! Żeby cię tu zaraz nie było—i odszedł.

Piotr obejrzał konisko, przekonał się, że nie stary i dobrego gatunku, tylko bieda i nieludzkie obchodzenie się tak go zmizerowało, nabrał więc ochoty, aby go kupić, wyleczyć, wypielęgnować i dopiero pokazać, co silna wola może zrobić.

W tej chwili, gdy zaambarasowany Bartos nie wiedział co począć, zjawił się żyd Herszek, który dawniej targował u niego tego konia, lecz z powodu nizkiej ceny, jaką mu dawał, Bartos nie chciał sprzedać konia, czego teraz mocno żałował.

Spostrzegłszy więc Herszka, zawołał:

— No, Herszek, weź już go za piętnaście złotych.

Ale Herszek słysząc rozmowę i rozkaz pisarza, chciał z tego skorzystać i rzekł mu:

— Ny, albo ja głupi, dziś un nic nie wart, bo skóra na nim popękała, a wtedy jeszcze miał trochę lepszą. Teraz ty dopłać mi dwa złote, to ja go z targu usunę, a jak nie chcesz, to ci wielmożny pisarz każe dać bizuny.

Piotr słysząc to, przystąpił do Bartosa i nie zważając na krzyczącego Wojtusia

o trzewiki dla matki, zawołał pół serjo pół żartem:

— Słuchaj, Bartos, chcesz półtora złotego, to ci dam.

— Bierz—krzyknie uradowany Bartos— jeszcze ci litkup zafunduję.

— Co wy robicie—krzyknie Herszek— a toż un do domu wam w żaden sposób nie zajdzie.

— Co tobie do tego—odpowie Piotr— jeszcze go kupisz odemnie i dasz 15 rubli.

— Ny, jak wy sobie żartujecie. Ja wam powiadam, co un już ledwo zipi.

— Dajta pieniądze—rzekł Bartos, który rad był usunąć się z targu.

Piotr, mimo protestacyi Wojtusia, pieniądze wyliczył, a Bartos zaprosił go na litkup, lecz Piotr podziękował, z czego korzystając usunął się coprędzej, żeby się z panem pisarzem nie spotkać.

Obecni mocno się dziwili, że Piotr taki znawca, a kupił tę nędzną szkapę, która według przepowiedni Hersza, zaraz zdechnąć miała. Lecz byli i tacy, którzy mówili:

— Nie bójta się, kiedy on kupił, to widać, że żyć będzie.

Porobili więc zakłady i prosili Piotra, żeby im pozwolił szkapę naznaczyć, by wiedzieli za dwa tygodnie kto wygrał, bo taki termin ułożyli.

Ponieważ koń miał gwiazdkę białą nad mordą, tu więc naznaczyli go i rozeszli się gwarząc o Bartoszu, szkapie jego i Piotrze, który po przybiciu targu, coprędzej owe bydlę z targu usunąć musiał, obawiając się aby przypadkiem zapowiedziane przez pisarza nadejście pani burmistrzowej, a co ważniejsza, przestraszenie jej tak mizerną szkapą, nie sprowadziło na niego zapowiadanych dla Bartosa skutków.

Lecz potrzeba było koniecznie odszukać sąsiadkę, gdyż Wojtuś nalegał na ojca, by koniecznie kupił trzewiki: Piotr znajdował się w ogromnym frasunku, bo tu trzeba było z koniem powracać do domu, a sąsiadka znikła jak kamfora.

Napróżno rozpytywał się o nią znajomych, nikt jej nie widział, a każdy śmiał się z niego, że kupił taką szkapę, która za godzinę najdalej zdechnie, jak o tem Herszek zapewniał.

Rad nie rad do domu się wybierać począł, pomimo płaczu Wojtusia, który nie

chciał z placu ustąpić, gdyż obawiał się za nieakuratne wypełnienie włożonych na niego obowiązków, odebrać zasłużoną od matki karę.

Na rozkaz jednak ojca, który nie lubiał żartować, puścili się w drogę, szkapa kulejąc szła ledwo, a po ujściu niecałej wiorsty za miastem, tuż przy szosie utknęła i potoczywszy się w rów, ułożyła się w widocznym zamiarze pożegnania się z tym światem.

Piotr zmartwiony teraz na dobre, próbował rozmaitych środków, by konia do drogi zachęcić, lecz napróżno; stanęli więc oba rozmyślając, a Wojtuś spłakany doradzał ojcu, aby konia zostawić, a wrócić się na jarmark, gdzie będzie można jeszcze odszukać sąsiadkę, pożyczyć od niej brakujących pieniędzy i sprawunek jak należy załatwić.

Lecz Piotr wcale się na to zgodzić nie chciał, oczekując aż szkapa wypocznie sobie, poczem miał nadzieję, że aby tylko ruszyła z miejsca, to pójdzie i dalej. Przez ten czas przypatrywał jej się pilnie i ze zgrozą coraz więcej dopatrywał w niej śladów nieludzkiego obchodzenia się z dobrym jeszcze tak niedawno koniem.

Wzięli się oba do podnoszenia go, ale bezskutecznie. Wojtuś głodny, radby już był znajdować się w domu, wiedząc, że matka, która go kochała, choć nagniewa się na niego, to jednakże pełną misę postawi, a tu z tą szkapą chyba niepodobna będzie dziś dojść do domu, życzył mu też jak najprędzej szczęśliwej śmierci, rozumie się w sekrecie przed ojcem, a tu jak na złość szkapa ani zdychać, ani ruszyć się z miejsca nie chciała.

Piotr widząc zafrasowaną minę syna, począł go uspokajać, mówiąc, że byle tylko dobrze sobie odpoczął, to ruszy i zachwalając konia, że w ich rękach przyjdzie on do siebie za jakie dwa miesiące nikt nie pozna tego zdechlaka, że dostaną za niego ze 30 rubli, bo on przynajmniej dwa razy tyle kosztować musiał.

Wojtuś słuchał, ale myśl jego zwróconą była ku chałupie, gdzie właśnie pod ten czas gotowe jadło stało już dla nich naszykowane. Zaglądał od czasu do czasu do wyciągniętej szkapy, lecz ta leżała jak martwa.

Nareszcie, jakby na szczęście dla nich gościńcem potoczył się się omnibus poczto-

wy a pocztylion dla uprzyjemnienia drogi jadącym, począł wygrywać na trąbce.

Zaledwie odgłos trąbki doszedł do uszu leżącego konia, tenże nastawiwszy uszy, raptem jakby z letargu podniósł się i stanął na równe nogi, potrząsł łbem i biedz począł ku wielkiej pociesze Wojtusia, a naturalnie i samego Piotra.

— A co, widzisz, nie mówiłem, że jak odpocznie to poleci.

— Prawda, tatulu, ale mi się widzi że to muzyka tak go postawiła na nogi.

- Musi być koń wojskowy, tem lepiej, teraz nie boję się, żeby nam zdechł—powiedział Piotr.

— Ale zkądby go wziął Bartos, przecie on w wojsku nie służył.

— Mógł go od wojskowego kupić, poznałem od razu, że to koń dobry.

Tymczasem echo trąbki rozlegało się, a szkapa szła usiłując się zdobyć nawet na chód pośpieszny. Piotr zaś prowadził ją, poklepując od czasu do czasu po wychudzonych bokach, i tak doszli szczęśliwie do domu.

Jeżeli jednak przybycie szczęśliwe do domu ze szkapą, która podług przepowiedni

Herszka zdechnąć zaraz miała, cieszyło Piotra, to spodziewana burza małżeńska z powodu tak bolesnego zawodu, jaki mimowolnie litością dla biednego zwierzęcia tknięty Piotr, zrobił po raz pierwszy w życiu swej małżonce, mocno go niepokoiła.

Nierównie więcej obawiał się Wojtuś, który zawczasu już szykował się na odpowiedzialność własną skórą i myślał właśnie nad tem, jakimby sposobem mógł się uratować, a po długiem namyślaniu postanowił nie iść wprost do domu, lecz uciec się pod opiekę babki mieszkającej opodal, tam przeczekać pierwsze chwile uniesienia matki, a następnie powrócić do domu w towarzystwie dziadka lub babki, ufając, że przy nich nic mu się już nie oberwie.

Plan miał więc gotowy, szło tylko o jego szczęśliwe udanie, lecz jak na złość wypadki ułożyły się inaczej. Wojtuś myślał zaraz z przed płotu dać jak to mówią nura, a tu na staję jeszcze przed domem zaszła im drogę Kasia, która od przybyłej już z jarmarku sąsiadki dowiedziała się, że główny sprawunek nie został załatwiony. Nie wiedziała tylko nic o nabytku, jaki właśnie do kupna trzewików przeszkodził i zni-

knięcie Piotra z Wojtkiem na jarmarku mocno ją niepokoiło, tem bardziej, gdy sąsiadka powróciła, a ich jeszcze widać nie było. Ponieważ szczerze męża jak i dzieci kochała, niepokoiło ją to coraz bardziej, tak, że od czasu do czasu wychodziła po za dom, upatrując powracających, a jak na złość, nic się od nich nie mogła dowiedzieć. W tem rozmyślaniu zapomniała nawet o chrzcinach i potrzebnych jej trzewikach, a tylko niespokojnie patrzyła, ażali się jej upragnione postacie na drodze wiodącej do domu nie zjawią.

Gdy więc ujrzała zdaleka idących, serce dobrej kobieciny uradowało się niezmiernie, a widząc, że prowadzą coś z sobą, z ciekawością szybko podążała naprzeciwko nich.

Wojtuś spostrzegłszy matkę, mocno się przestraszył, widząc cały plan zwichnięty, lecz wprędce zdecydował się poddać losowi, na wszelki wypadek usuwając się tylko nieco w tył po za szkapę. Spostrzegł to Piotr i zaraz postanowił nie pozwolić, aby się na nim jego własne przewinienie skrupić miało, rzekł mu więc:

— Wojtuś, a czego się chowasz za szkapę?

— Bo się boję, żeby mnie matula nie biła.

— Kiedyś nic nie winien, to się nie bój i nie chowaj przed matką.

— Ba, a czy matula będzie pytać, czy to ja winien, dość, żeśmy trzewików nie kupili ino szkapę.

— No, nie bój się –nic ci nie będzie.

W tej chwili nadeszła matka i spostrzegłszy ich ze szkapą, zapytała co się stało, że tak długo bawili.

Piotr naturalnie zdobywał się na całą siłę wymowy, aby żonie się wytłómaczyć i przekonać ją o dobrym uczynku jaki wypełnił, a nawet o świetnym interesie, jaki spodziewa się na zakupionym za półtora złotego koniu zrobić.

Ale na nieszczęście, Kasia ochłonąwszy ze strachu, jaki budziła w niej długa nieobecność męża i syna, teraz z całą zapalczywością kobiecą, płynącą z zawiedzionej nadziei popisania się na chrzcinach, rozpoczęła wojnę z Piotrem, a naturalnie obiecując i Wojtusiowi za przybyciem do domu sprawić porządne lanie, a szkapę, która głównie przyczyniła się do zawodu, jako najgłówniejszą sprawczynię niepokoju, zaraz zabić dra-

paką, gdyż podług jej zdania nic innego nie warta była.

Naturalnie, rozpoczęta na drodze kłótnia ciągnęła się długo w domu lecz Piotr, najgłówniej dawał baczenie na to, aby Wojtuś za winę jego nie ucierpiał i cierpliwie znosząc wybuchy żony, pozwalał jej dowolnie wygadać się, zastawiając jednakże Wojtusia ile razy zgniewana Kasia chciała mu skórę obić.

Nareszcie skończyły się i nieporozumienia, bo znalazła się druga sąsiadka, która jej na chrzciny nowiutkich trzewików odstąpiła, a Piotr z Wojtusiem zajęli się całą siłą ową zbiedzoną szkapą, najpierw i to bardzo długo musieli ją myć, bo widocznem było z obeschniętego błota na szerści, że woda oddawna na niej nie postała, a cóż dopiero mówić o zgrzeble, a że utrzymanie bydlęcia w czystości jest najpierwszym warunkiem jego zdrowia, a także na wygląd mocno wpływa, nic więc dziwnego, że szkapa nie myta oddawna obrzydliwie się przedstawiała. Następnie Piotr musiał bardzo oględnie z początku odkarmiać bydlę, aby po takim długim poście, lepsza pasza odniosła stosowny skutek. Jednem słowem, robił

wszystko co tylko dyktowała mu jego wiedza, aby mógł pokazać, że silna wola i chęć szczera wszystko dokazać może, co mu się też w zupełności udało, gdyż po parutygodniowym pobycie w domu Piotra, koń już nie podobny był wcale do tej nędznej szkapy, jaka na jarmarku w Kałuszynie wzbudzała grozę i politowanie.

Piotr chwalił się nieraz przed żoną z cudownej prawie przemiany, jakiej na szkapie dokazal, lecz Kasia czując do niego zawsze urazę o trzewiki, nie chciała mu przyznać racyi i zawsze wyszukiwała wad, aby mogła zganić nienawistne sobie zwierzę.

Napróżno Piotr wychwalal wysokie zalety swego konia, który jak się okazało, pochodził z krwi szlachetnej i dostal się do rąk złego gospodarza jakimś dziwnym trafem, i wart był co najmniej 30 rubli. Lecz zwykle, co lekko przychodzi, lakko bywa traktowane: tak się też i z nim stało i gdyby nie Piotr, który go swoją wytrwałością na nogi postawil, szlachetne zwierzę zabite by zostało prosto na skórę.

W dwa miesiące po nabyciu na jarmarku zwierzę bylo do niepoznania, wszelkie rany pogoiły się, skóra nabrala pięknego po-

łysku, boki przedtem zapadłe, jak również i cała postać wypełniły się kształtnie. Z siłą przyszła i rączość, do której go Piotr powoli przyzwyczajał, jednem słowem, zrobił się koń bardzo piękny, a tak do swojego pana nawykły, że rozumiał każdy ruch jego ręki i jak pies za nim chodził.

Piotr bardzo go lubił i chętnie go by u siebie zatrzymał, bo i nic dziwnego, każdemu dzieło własne jest miłe, a tu zaszła przemiana była owocem jego rzeczywistych wyników pracy i cierpliwości.

Lecz Kasia nie dała się przebłagać i nigdy mu przebaczyć nie mogła, że przez niego na chrzciny w pożyczanych trzewikach iść musiała. Piotr więc sprzedać go musiał, nie chcąc by jego widok miał ją wciąż drażnić.

W tym czasie zeszli się do niego ci, którzy zrobili zakład na jarmarku, że koń wedle przepowiedni Hersza zdechnie za godzinę a po sprawdzeniu uczynionego znaku, wśród wesołości i pochwał dla Piotra, umówiony zakład uiścili, a ponieważ Piotr oznajmił, że konia sprzedać zamierza, postanowiono spróbować, czy Hersz taki znawca

pozna owe bydlę, do zabrania którego na swoją własność żądał jeszcze dopłaty.

Ponieważ za tydzień przypadał akurat walny jarmark w Kałuszynie, ułożyli się więc, że przyjdą i konia poprowadzą. Piotr zaś pójdzie w asystencyi i umówionym znakiem objaśni ich, na jaką cenę by się ostatecznie zgodził; a jeżeli Hersz go nie pozna i targować będzie, to suma miała być znacznie powiększoną.

Zgoda stanęła, ale Kasia ponieważ stanowczo zaprzeczała utrzymującym, że Hersz konia kupi, więc i ona choć zdaleka miała być na targu obecną.

Wojtuś dopraszał się także aby mógł iść, na co mu Piotr pozwolił, gdyż i on własną pracą i staraniami, gdy ojciec nie miał czasu przyczyniał się do polepszenia stanu zwierzęcia.

Ponieważ sprawa ta rozeszła się po wsi, a Hersz miał sławę na całą okolicę, więc dużo się zebrało włościan, którzy nie mając rzeczywistego interesu na jarmark podążyli, tak więc owa zdychająca szkapa w ogromnem otoczeniu wyruszyła z wioski.

A trzeba było widzieć, z jaką elegancyą jakby przeczuwając popis, stąpał koń, rżąc

od czasu do czasu, a Piotr i Wojtuś, którzy się do niego szczerze przywiązali z żalem patrzyli za tak wspaniale dziś wyglądającym zwierzem, z którym za godzinę pożegnać się muszą.

Podług umowy, prowadzący konia weszli zaraz na miejsce do sprzedaży przeznaczone.

Tu uwijał się już Hersz, targując właśnie wierzchowca u jednego z kolonistów. Lecz skoro zobaczył wprowadzonego konia, który mu od razu wpadł w oko, przerzucił się zaraz do przegrody, u której go uwiązywali.

Zwolna przybliżył się Piotr z Wojtusiem, a Hersz, w dobrym humorze, zaczepił go zaraz.

— A jak się macie,—no, cóżeście z tym koniem Bartosa zrobili?

— A no zdechł.

— Widzicie, ja wam mówiłem, co un zaraz zdechnącz musi. To były tylko gnaty.

— Ha, cóż robić?—rzekł Piotr i odsunął się na bok, a Kasia jak mogła najbliżej stanęła, aby się o rozumie Herszka przekonać.

Herszek zapalił się mocno od razu, lecz jak mu powiedział cenę, niby mocno się roz-

gniewał, jednakże nie opuszczał barjery i coraz to lepiej go oglądał, aż nareszcie oznajmił, że najwyżej wart 20 rubli i że więcej ani grosza nie da.

— No, jak nie dacie, to nie kupicie.

— Kiedy wam nikt nie da.

— Zabaczymy.

Odszedł, lecz zawsze mając go na oku targował u innych, lecz jakoś na całym targu lepszych dużo nie było. Wrócił się więc, oznajmiając, że 1 rs. kop. 50 postąpi, a litkup w takim razie do sprzedawcy należy.

Ci naturalnie nie chcieli. Hersz znów odszedł i tak kilka razy wracał postępując, aż doszedł do 25 rubli.

Kasia zaczęła nalegać, by Piotr wziął pieniądze, lecz włościanie namawiali go by się trzymał przy cenie, a im też pilno nie było.

Tymczasem Hersz po kilkakrotnie odchodził i wracał, postepując po kilka złotych a za każdym razem zapewniał, że to jego już ostatnie słowo.

Włościanie zaś trzymali się, chcąc z żydka jak najwięcej wyciągnąć, a następnie znaleźli się i inni targujący, co widząc Hersz,

postąpił na 27 rubli, cenę przez Piotra naznaczoną i konia kupił z dodatkiem litkupu.

Gdy przyszło do poczęstunku i po wypiciu, Hersz obmyślając już zyski, jakie spodziewał się z kupna osiągnąć, zabierał się do wyjścia, włościanie otoczywszy go, przekonali, że to ten sam koń, za którego on przed paru miesiącami żądał od Bartka dopłaty, a którego Piotr za półtora złotego kupił.

Naturalnie, Herszek nie chciał wierzyć, lecz ponieważ i świadkowie i Bartek poprzedni jego właściciel, (który teraz widząc, że Piotr tak dobrze na tym koniu zarobił, mocno był zmartwiony), przyznał jego tożsamość, zwłaszcza po znaku, jaki umyślnie był zrobiony przez zakładających się wówczas gdy Hersz twierdził, że szkapa za godzinę zdechnie. Rad nie rad uwierzył, a ratując zagrożoną sławę, rzekł:

— Chcecie coby buł ten sam, to niech sobie będzie — i ruszył z koniem z placu, wśród ogólnej wesołości otaczających.

Piotrowi smutno się zrobiło po odejściu Herszka, bo nie dbał bardzo o pieniądze.

a i Wojtusiowi łzy się zakręciły w oczach, gdyż i on przywiązany był do konia.

Najwięcej jednak cieszyła się Kasia, która teraz kupiła sobie dwie pary trzewików, i już później nigdy nie gderała na męża, gdy tenże niósł pomoc zwierzętom, widząc tak jawny przykład nagrody za dobre czyny.

Piotr zaś pozostał jeszcze bardziej cenionym i nikt prawie bez jego porady nie kupował inwentarza, a co ważniejsza, cała wieś i okoliczne, starały się go w dbaniu o dobro zwierząt naśladować.

FR. WALCZAKIEWICZA

wydawnictwa.

	kop.
Jan Sobieski śpieszący na pomoc oblężonym austryakom	6
Jan Zamoyski, kanclerz i hetman w. k. . . .	10
Nad naszą Wisełką, obrazek z życia Warszawy	20

Do nabycia u autora *Złota Nr. 40* i w księgarniach pp.: Gebethnera i Wolffa, Senewalda, Arcta, Paprockiego, M. Orgelbranda, K. Prószyńskiego, E. Kolińskiego, Centnerszwera i innych.